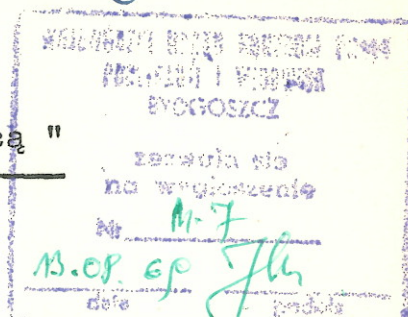


"Spotkanie z kłonicą "

fragmenty



Nie tak łatwo zapomnieć ojca słaniającego się w drzwiach własnego mieszkania. Stał jak żebrak, brudny, zaleźniony, ze wzrokiem wbitym w próg, który bał się przestąpić. Wracał bowiem do swoich jako człowiek upokorzony, wyzbyty dumy i tej pustej, śmiesznej, a jednocześnie groźnej pewności siebie, którą do tak niedawna jeszcze mroził ludzi od niego zależnych. Stał więc zmartwiałym i niemy, z rękami w kieszeniach płaszcza powalanego ziemią i gliną. Bezwiednie szurał ~~magami~~ butami po wycieraczkę, jakby chciał zostawić przed progiem całą swoją hańbę i błoto którym go obrzucono. Jego nogi wykonywały przemienne, nędzycowe ruchy, ale tułów i głowa w pomiętym, głęboko na uszy wciśniętym kapeluszu, trwały w sztywnym bezruchu. Można było sądzić, że do nóg ojca przyczepione są niewidoczne sznurki, za które pociąga ktoś ukryty wysoko nad poprzeczką drzwi. Sprawiał wrażenie notorycznego alkoholika, któremu udało się wywinąć z ulicznej bójki i ścigany, szuka schronienia u pierwszych, lepszych ludzi. Był jednak zupełnie trzeźwy. Ojciec pił mało i niechętnie. Pił, kiedy musiał, a i to tylko z tymi, od których wiele zależało. Z klatki schodowej wszedł prosto do kuchni. Tak jak stał, w kapeluszu na głowie, spocorny i uwalany błotem, klapnął na krzesło, położył głowę na stole pełnym nie pomytych naczyń i jęknął:

- Powieźli mnie....

Wszyscy byli przekonani że ojcu ~~wydarzył się~~ przydarzył się samochodowy wypadek, że pewnie znozu ten partacz, Kubera, wpadł w poślizg i rymnął gdzieś w przydrożne drzewo, wypiwszy uprzednio setkę czystej, kapslowanej. I że ojciec znowu będzie musiał wyciągać Kubere z biedy, tuszować sprawę i spisywać fałszowane protokoły, że w końcu sam na tym źle wyjdzie, skoro inni się o tym dowiedzą. A ciotka Ewelina podreptała do swego pokoiku i zapaliła świeczkę ~~przez~~ pod Matką Boską Częstochowską i dziękowała Bogu i wszystkim świętym że skończyło się tylko na błotnej kąpieli, chociaż mogło się skończyć na czymś znacznie gorszym. Zaraz też wróciła do kuchni

by otworzyć szwagrowi oczy i powiedzieć, że to sama Opatrzność go ostrzega, być może po raz ostatni i żeby się poprawił, póki co. Ale szwagier ciągle jeszcze ^{szedł} leżał z głową na stole, tyle że już bez kapelusza, i podrygiwał plecami jak w napadzie czkawki. Ciotka Ewelina nie miała więc śmiałości odezwać się do kogokolwiek słowem, zwłaszcza do szwagra. Odłożyła kazanie na lepszą okazję i na inny czas. Pełna dobrej woli starała się uchwycić sens szwagrowych słów, a nie było to takie łatwe, bo mamrotał jak w gorączce i mówił nie do nich, do ludzi, tylko prosto w ceratę i każde jego słowo zamieniało się w głuche dudnienie desek, w wibrację stołu i spływanie ^{sliny} śliny. Dopiero kiedy uniósł z nad ceraty swoją nabrzmiąłą, czerwoną twarz i począł walić pięścią w blat, aż zagrały szklanki i talerze, dopiero wtedy poprawiła mu się dykcja na tyle, że zrozumieli co do nich mówi.

- Powieźli...~~xmnie~~ jak śmiecie... ~~nie~~.. na gnój powieźli... Mnie!

Coś tam powoli zaczęło im w głowach świtać. Ale nie ciotce Ewelinie. Wzięła z rąk siostry kapelusz, wzięła szczotkę i skołowana, poszła na balkon doprowadzić do porządku szwagrowy pilśniak. Przy tej robocie czuła się zupełnie na swoim miejscu, wiedziała od którego końca zacząć i czy ma szczotkować z włosem, czy też pod włos, na sucho czy na mokro. Co do tamtego, liczyła, że wszystko jakoś się samo, przy boskiej pomocy wyjaśni i ułoży. Najważniejszy ten kapelusz, taki drogi i jeszcze przecież nie stary. Ale był do uratowania, przekonała się o tym po kilku pociągnięciach szczotką.

Adam spoglądał to na ojca, to na matkę, rozbieganym wzrokiem zagonionego zwierzęcia. Orientował się w wydarzeniach znacznie lepiej od matki, no i rzecz jasna, od ciotki Eweliny. Potrafił sobie doskonale wyobrazić, co mogło się było stać z ojcem i przez jakie musiał przejść piekło, żeby wyglądać tak, jak wyglądał. Nigdy jeszcze nie widział ojca w takim opłakanym stanie. Nawet wtedy, podczas wiosennych roztopów, gdy pośliznął się na rozkisłym śniegu i skręcił sobie staw w kostce. Ojciec zaklął tylko, ~~pr~~ strzepnął błoto z nogawki i chociaż ból w nodze bardzo musiał mu dokuczać, wcale nie dał poznać po sobie jak cierpi. Nawet rażno pokuśtykał do domu, wsparty na ~~w~~ ~~ram~~ ramieniu syna, jeszcze pokpiwał z siebie samego i mówił różne śmieszne rzeczy. A więc musiało się stać coś naprawdę

straszego, skoro ten tutaj rozmazany, nieszczęśliwy i bezwolny człowiek w niczym nie przypomina tamtego, krzepkiego i pogodnego ojca.

Adam całą swoją wrażliwą, dziecięcą intuicją odgadywał tragedię ojca. Jego poniewierkę i upadek. Dostawał niemal torsji na myśl o tym, jak mściwy tłum cynicznie zaprasza ojca by zechciał zająć miejsce w taczkach i jak ojciec, posłuszny przemocy, pokornie siada w tym hańbiącym wehikule, jak unosi nogę by usadowić się na dnie pojazdu. ~~jak~~ jak już siedzi w nim z podkurczonymi nogami niczym w wannie i jak zaciska do białości palce na kantach blaszanej niecki, żeby nie spaść pod drewniane klumy ludzi, w kręgu których ~~xxxxx~~ sam niegdyś wyrósł i do których ciągle jeszcze się przyznawał. Taczki toczą się po wyrwach fabrycznej ulicy i ciało ojca - dyrektora, ^{widzę} jak martwe, dygoce jakby się miało rozpaść na części. Ktoś wyłamuje się z tłumu, dopada taczek i wciska ojcu kapelusze głęboko na oczy. Wśród śmiechów i szyderstw, ślepy, łamany turkotem żelaznego koła taczek, jedzie ojciec na swoją Golgotę. Cóż straszliwego musiał tym ludziom uczynić, że u końca tej sromotnej drogi wyjmują go z taczek, częstują kopniakiem i jak belę siana poewalają w błoto między stare żelastwo i zeszłoroczny koks? Ci sami, jeszcze wczoraj kłaniali się ojcu w pas, pytali o zdrowie i zabiegali o jego pamięć, o protekcję. Do wczoraj jeszcze ich żony ochoczo wiórowały parkiety jego domu, jakby poczytując sobie tę wysługę za szczególnie wyróżniający przywilej. Wczoraj jeszcze, ojciec zbywał wszystkich byle jakim gestem, nagradzał ich starania niedbałym poklepywaniem, a na odczepnego mawiał: - Dobra, dobra, przyjdźcie do mnie jutro... - W czym jego wina i za co, za czyje cierpi błędy? Przecież chciał dobrze. Chciał szczęścia dla wszystkich, nie tylko dla siebie, dla swoich. Może nie wszystkim jest "jego" szczęście potrzebne, może szczęście "wiele ma imion"? Albo też zbyt biernie zaufał naukom płynącym z zetlałych "Krótkich Zarysów", ze zbyt "Związkowych Historii" i z nader "Małych Słowników Filozoficznych"? ~~Może zbyt dosłownie zawierzył owym wodospądom słów, lejących się szumnym z wiccowych trybun?~~ Czy też omamiła go blada treść jego własnych, kompilowanych przemówień?

I rzecz bardzo znamienita - Adam dobrze to pamięta - krzywdą ojca, miast wywołać w nim odruch współczucia, zrodziła niejasne, lecz mimo to wyraźnie dochodzące do świadomości uczu-

cie wstrętu, jakiejś nieokreślonej odrazy, chyba podobnej do tej, jakiej - powiedzmy - doznaje się na widok przejechanego ptaka czy rozkładającego się w gliniance kota. Za nic w świecie nie mógł się przełamać by podejść do ojca, pogłaskać go po jego zmierzwionych włosach i kilkoma, choćby jednym dobrym słowem, dodać mu otuchy. Nie był zdolny do takiej wielkoduszności, a przecież bardzo, nawet z głębi serca tego pragnął. Było w tej ojcowej klęsce jakby coś nieczystego, jakiś trefny posmak hańby czy skandalu. W każdym razie coś, czego się teraz ogromnie wstydzi. I ten mały, skrętnie przed otoczeniem chowany strach...! Że ojciec ściągnie na cały dom nieszczęście, że zaraz pojawią się przed domem tamci ludzie z taczkami i powiążą ich wszystkich w oślej procesji na wysypisko śmieci, wychłoszczą i zabiją. Biegał od okna do okna, patrzeć czy już jadą. Zawszad słyszał łomot żelaznych obręczy turlających się po kamieniach ulicy, gwózdy i pokrzykiwania rozbuchanego tłumu. Z duszą na ramieniu sprawdzał zamki w drzwiach i co rusz podnosił słuchawkę telefonu by się upewnić czy istnieje jeszcze więź ze światem zewnętrznym. Bał się przede wszystkim o własną skórę. I jeśli poddał wówczas rodzicom myśl o wyjeździe na wieś, do stryja, miał swoje zwłaszcza bezpieczeństwo na uwadze. Chwalono go w domu za przytomność umysłu, za rozwagę i za to, że tak wytrwale ~~on~~ strzegł ich wspólnego gniazda. A wszystko to w dojrzałym pojętym interesie całej rodziny...

Jakiś przedmiot, podrygując, delikatnie trąca Adama w nogę. Pantofelek Małgosi... Ten jej karygodny brak wyobraźni! Czy trzeba posiadać aż tak wielką umiejętność przewidywania skutków, by uprzytomnić sobie czym grozi takie niewinne z pozoru niedbalstwo? Niech się obcas przypadkiem ~~w~~ dostanie między przegrodę czołową a pedał hamulca...!

Wizja takiego wypadku stała się jego obsesją kierowcy, odkąd przeczytał w prasie głoszę o śmiertelnej kraksie spowodowanej przez małego, zielonego żółwia. Jacyś państwo wracali z Bułgarii i żółw, którego wieźli w darze dla swego pozostałego w domu synka, niepostrzeżenie wpełznął pod dźwignię hamulca.... Żółw, oczywiście, ocalał.

~~Adam~~ Adam podnosi pantofelek i rzuca go do tyłu. Szuka drugiego od pary, ale nie od razu udaje mu się go znaleźć. Wpierw spostrzega ledwie jaśniejące w mroku bose stopy żony. Wyciągnięte pod deską przyrządów, drgają jak zwłoki na karawanie. Adam nie szuka już drugiego pantofla; gdzieś tam musi le-

żeć w pobliżu drzwiczek. Mieliby wyjątkowego pecha, gdyby stamtąd przywędrował aż pod hamulec...

Bose, wyciągnięte stopy, od dzieciństwa kojarzą się Adamowi ze śmiercią. Stopy złączone piętami, tworzące w rozchyleniu kąt ostry, to nieomylny znak czyjegoś kresu. Tak zapamiętał sobie dziadka. W prześwicie odwróconego trójkąta, którego wierzchołek stanowiły zetknięte z sobą zrogowaciałe pięty dziadka, a podstawę, sterczące jak w geście karcącego napomnienia, olbrzymie paluchy jego stóp, Adam - dziecko - spoglądał przez tę jakby szczyrbinę w czeluście dziadkowych nozdrzy, gęsto porośniętych krętym, popielatym włosiem. Ten perspektywiczny skrót raz na zawsze utrwalił w nim pojęcie o zewnętrznej, materialnej istocie śmierci. Także śmierć matki uzyskała w jego świadomości nieodwołalną sankcję dopiero przez te trzy punkty geometryczne stóp: alfę, betę i gammę. Również buty, widziane od strony ~~zewnętrznej~~ podeszew, są odtąd dla Adama bezspornym świadectwem czyjegoś zgonu. Zwłaszcza te, o zelówkach, ~~xx~~ lśniących i czystych, które nigdy nie dotknęły ziemi. Takie właśnie trzewiki, prosto z pudełka, sprawił ojciec matce na ostatnią jej drogę. Musiały być przynajmniej o pół numeru za małe, bo wszyscy porządnie się namęczyli, zanim przy użyciu łyżek i przeróżnych innych technicznych forteli, udało im się wcisnąć je na stopy zmarłej. W takich luksusowych pantofelkach paradują aktualnie na deptakach pretensjonalne nastolatki i matka, gdyby żyła, nigdy nie pozwoliłaby sobie na kupno podobnego modelu. Ona, taka skromna i wrażliwa, odejdzie od nich w uwierających trzewikach! Ta sama matka, która tyle razy kucała przy nim w sklepach obuwniczych, macała ~~xxx~~ ze znanstwem czubki przymierzanych bucików i z troską w głosie pytała: "Czy aby nie za małe, Adasiu? Pokiwaj no paluszką..." I Adam, nie pytając nikogo o zdanie, wypucował stare, matczyne buciska, te, w których dreptała do ostatnich swoich dni, wyglansował zelówki czarną pastą i przybił obluźowane blaszki. O tak, w takich trzewikach może matka wędrować przez wieczność! Ale ciotka Ewelina była innego zdania: " - Co na to ludzie powiedzą?!" - ~~xxxx~~ I rzecz niezrozumiała - ojciec /czy aby nie po raz pierwszy w życiu?/ stanął po stronie ciotki! W każdym razie nie poparł starań syna ani jednym słowem. A jego zdanie - wszyscy o tym wiedzieli - byłoby decydujące. Stukał palcem w dziewicze podeszwy, ugniatał wierzchy, sprawdzał elastyczność całości, jakby chciał wszystkim jasno udowodnić, a może tylko

sobie - lub przede wszystkim s o b i e - że tak jak on chce, jest, ^zczynawet musi być dobrze. Że nikt tutaj nie ma ^{nie} do gadania i że będzie, jak on postanowi. Potem, ni stąd ni z owąd, odwrócił się, podszedł do szafy, zamknął ją starannie, jak to czynił zawsze, ilekroć wszyscy wyjeżdżali na dłuższy czas z domu, jeszcze pociągnął za uchwyty by się upewnić czy rygle chwyciły. Kluczyki schował do kieszeni. Kiedy szedł do kuchni, ciotka Ewelina zastąpiła mu drogę.

- Przed kim zamykasz? Przede mną? Ja niczego od ciebie nie potrzebuję...!

Nie odepchnął jej, nie. Tylko przesunął na bok, jak wieszak czy stojak na parasole. Z kuchni usłyszeli syk (wody sodowej) i ten charakterystyczny wydech kończącej się ~~wxxx~~ wody w syfonie. Ojcu głośno się odbiło, usiłował więc zatuszować nieprzyjemne wrażenie udanym napadem kaszlu. Widzieli go, jak z kapeluszem na głowie szedł do kiosku po nowy syfon...

~~Adam nie wie... nie wie... nie wie... nie wie...~~

~~Taki to, ten ojciec...~~ ^{myśli Adam} - Gdyby tak spróbować wystawić rodzicom cenzurkę za sprawowanie...? Rzecz ogromnie trudna, ale czy niemożliwa...?

Jednego jest ^{Adam} pewny: w ogólnej skali ocen ^{ojciec} zasłużyli sobie najwyżej na d o s t a t e c z n y. Jedyne pośrednie znaki ocen, plus czy minus - mogłyby się stać przedmiotem wahań czy przetargów....

- Małgosiu, ty śpisz?

Śpi. Więc nie zatrzymuje ~~nawet~~ wozu w miasteczku, gdzie mogliby się napić kawy i orzeźwić. ~~Jedzie dalej po kocich łbach uliczek~~ ~~opek~~, Twardo nabite opony, dudnią po kocich łbach uliczek jak obręcze żelaznych tacek...